

JA,
BOLESŁAW KOZUB (3)

W pierwszych dwóch częściach swej opowieści Pan Bolesław Kozub opowiedział o swych latach szkolnych, czynnej służbie wojskowej w Krakowie i pierwszych dniach po wybuchu II wojny światowej, aż do przyjazdu do obozu dla internowanych na Węgrzech.

W pierwszych dwóch dniach pobytu w obozie mogliśmy swobodnie wychodzić na miasto. Miejscowi handlowcy uznawali polskie złotówki, więc mogliśmy sobie kupić owoce lub wino. Po kilku dniach brama została jednak zamknięta, za ogrodzeniem przechadzały się patrole, a nad bramą stał karabin maszynowy. Poszczególne kompanie wychodziły z obozu na spacer w asyście uzbrojonej eskorty. Węgrzy byli bardzo tolerancyjni, pozwalali oddalać się od oddziału.

Z powodu kiepskich warunków sanitarnych powszechnym zjawiskiem była wszawica. Pewna poprawa nastąpiła po przekazaniu nam przez Czerwony Krzyż bielizny, w tym ciepłych koszul flanelowych. Została też uruchomiona poczta i mogliśmy wysłać listy do Polski. Mieliśmy jeden odbiornik radiowy, na którym słuchaliśmy polskich audycji z Tuluzi. Program zaczynał się o 23.00 i zawierał jedynie informacje wojenne.

Cztery pengó

Władze węgierskie płaciły nam zółd w takiej samej wysokości jak otrzymywaliśmy w kraju. Oficerowie otrzymywali 4 pengó (ówczesna waluta węgierska) dziennie, ale musieli sami dbać o swoje wyżywienie. Bywało więc i tak, że ich ordynansi kupowali obiady od kucharzy gotujących dla szeregowych żołnierzy. Obiadami dzieliliśmy się także z biednymi węgierskimi dziećmi.

Aby się nie rozleniwic, staraliśmy się znaleźć jakieś zajęcie. Pewnego dnia pracowałem z kolegą przy uboju sześciu świń. Za cały dzień pracy dostaliśmy po jednym pengó. Innym razem, jeden z węgierskich oficerów zażądał, byśmy mu zrobili wędliny. Pracowaliśmy przez trzy dni, za co nie dostaliśmy żadnej zapłaty, nie usłyszeliśmy nawet słowa „dziękuję”.

Szukaliśmy też rozrywek kulturalnych. Powstał chór składający się wyłącznie z oficerów, który koncertował w każdą niedzielę. Mój kolega Schubert oswoił z nu-

dów polną mysz, która często odwiedzała nasz barak.

Czerwony Krzyż dostarczył nam cywilnych ubrań, które były niezbędne do ucieczki z obozu. Okazało się, że były to służbowe uniformy londyńskich konduktorów. Ucieczka w mundurze wojskowym nie wchodziła w grę, gdyż w węgierskiej policji i wojsku byli zwolennicy Hitlera, którzy gorliwie wylapywali uciekinierów. Koniecznym była też zmiana nazwiska. Ja przyjąłem nazwisko swej Zosi i nazywałem się Ciesielski.

Smutna Wigilia

Powoli zbliżało się Boże Narodzenie. Władze miasta Nagykanizsa, gdzie znajdował się nasz obóz, ufundowały nam z własnego budżetu tysiąc porcji ryby i tyleż słodkich bułeczek. To były jedyne elementy przypominające nam o świątecznej tradycji. Nie mieliśmy drzewka, nabożeństwa, ani innych prezentów.

Zima była mroźna, temperatura spadała do minus 25 st. C. Któregoś dnia wysłano nas do odkopywania z zasy pociągu,



Wigilia na Węgrzech, 1940 r.

który ugrzązł w niej w pobliżu naszego obozu. Nabawiłem się wówczas kilku odmrożeń, które dokuczają mi do dziś.

Nieco monotonne życie w obozie sprzyjało nawiązywaniu nowych znajomości. Ja zaprzyjaźniłem się z Wincentym Nemethem, kucharzem gotującym dla węgierskiej obsługi obozu. Nemeth zaprosił mnie na Wielkanoc 1940 r. do swojego domu na wsi. Było to dla mnie wielkim wydarzeniem, urozmaiceniem ostatnich miesięcy. Wreszcie były to prawdziwe święta, z obfitymi i smacznymi posiłkami, czystym i wygodnym łóżkiem, udziałem w nabożeństwie w kościele katolickim.

Oprócz gospodarstwa Wincent posiadał również własną winiarnię, do której także zostałem zaproszony i poczęstowany dobrym winem. Na zakończenie mojej wizyty byliśmy na wiejskiej zabawie tanecznej, gdzie poznałem sympatyczną dziewczynę - Marikę.

Po powrocie do obozu, we wtorek 9 kwietnia, dowiedziałem się, że na następną sobotę zaplanowano moją ucieczkę z obozu. (Organizacją ucieczek zajmowali się oficerowie z obozu cywilnego mieszczącego się w innej części miasta). Miał w niej wziąć udział także Schubert i jeszcze jeden z kolegów.

Uciezka

Wysłałem do domu list z informacją, że wyjeżdżam do wujka Franka, co z pewnością zostało zrozumiane, że jadę do Francji w napięciu oczekiwałem dnia ucieczki. Nie było żadnych pożegnań, gdyż w sprawie wtaimniczonych było zaledwie kilka osób.

W wyznaczonym dniu, jak zwykle po śniadaniu, cała kompania ustawiła się do wyjścia na spacer pod nadzorem dwóch uzbrojonych strażników. Nasza trójka ubrana była w wojskowe płaszcze, gdyż pod spodem mieliśmy już cywilne ubrania. Strażnicy nie mieli zwyczaju liczenia nas przy wyjściu ani przy powrocie. W czasie przerwy na papierosa oddaliśmy się w zarośla, gdzie przekazaliśmy nasze płaszcze

kolegom. Kompania wróciła do obozu wojskowego, a my udaliśmy się do obozu cywilnego. Tu otrzymaliśmy od organizatorów ucieczki posiłek, odpowiednie dokumenty i jugosłowiańskie dinary na zakup biletu kolejowego, gdy już będziemy w Jugosławii.

Naszym zadaniem było dostać się po zmroku wzdłuż torów kolejowych do oddalonej o 18 km

stacji granicznej. Po kilkugodzinnym marszu, z zachowaniem wszystkich środków ostrożności i unikaniu patroli, dotarliśmy na miejsce. Cekał tu na nas maszynista, który ulokował nas na nocleg w wygodnym wagonie I klasy. O świcie musieliśmy się przebieść do węglarki w parowozie, gdzie był już przygotowany odpowiedni lej w stosie węgla.

Pociąg ruszył, przejechał most graniczny na rzece Drawa, zatrzymał się na pierwszej stacji po stronie jugosłowiańskiej. Maszynista polecił nam opuścić kryjówkę, umyć się i wysiąść. Poszliśmy do kasy kupić bilety do Zagrzebia. Byliśmy już wolnymi ludźmi. Mogliśmy podjechać do Polskich Sił Zbrojnych we Francji, którymi dowodził gen. Władysław Sikorski. Była niedziela, 14 kwietnia 1940 r.

ciąg dalszy nastąpi
Opowieści wysłuchał
Zygmunt Krzysztańek